

Prenumerata w Polsce: Kwart. z przes. 988.000 — Mk. Półrocznie 1,976.000 — Mk. Rocznie 3,952.000. —
Ameryka: 12 dolarów rocznie. Numer pojedynczy 23 centimów.

Wychodzi każdej soboty.
REDAKCYA i ADMINISTRACYA: KRAKÓW XV.
ulica Kazimierza Wielkiego L. 95 (dom własny).
Telefon Nr. 479.

CENY OGŁOSZEŃ: W części inseratowej na ostatniej stronie za wiersz jednoszpaltowy milimetrowy Mk. 8.000 – cała kol. Mk. 16,000.000 – pół kol. Mk. 8.000,000 — 1/4 kol. 4.500.000 — 1/8 kol. 2.500.000 — 1/16 kol. 1.300.000. — W części redakcyjnej za 1 wiersz milim. jednoszpaltowy 20.000 – cała kol. Mk. 22.000,000 1/2 kol. Mk. 11.000.000 — 1/4 kol. Mk. 6 000.000 — 1/8 kol. Mk. 3.500.000 — 1/16 kol. Mk. 2.000.000. — Układ tabelaryczny 50 % drożej Ogłoszenia zagraniczne 50 % drożej. Oprócz ceny za zajęte miejsce należytość za klisze według cen bieżących obecnie 50.000 za centm.

Konto P. K. O. Nr. 140.260. Konto Bank Związku Spółek Zarob. w Krakowie Redakcja otwarta dla stron od 10 — 12. Rękopisów i fotografji Redakcja nie zwraca

Należytość pocztowa opłacona ryczałtem. Numer pojedynczy 100.000 Marek

Rok XX. Kraków, 8 grudnia 1923. Nr. 49.

Zagrożenie rozwoju polskosci Gdańska

Polacy stracili 2 mandaty przy wyborze do sejmu



Widok portu gdańskiego.

Jeszcze jedna ofiara walk bratobójczych.

W szary, posępny poranek jesienny złożono na wieczny odpoczynek zwłoki młodego bohatera czci żołnierskiej i obowiązku. Jeszcze jedna ofiara walk bratobójczych — rotmistrz ś. p. Franciszek Łukasiewicz zszedł do mogiły.

W kościele św. Piotra na wysokim katafalku tonącym w zieleni i kwiatach, wśród jarzących świateł świec — wystawiono trumnę. Katafalk otoczony strażą honorową.

Modły przed ołtarzem odprawił kapelan ks. Niezgoda, słowo żałobne wypowiedział z ambony ks. kap. Jarański składając hołd rycerskim cnotom i poświęceniu Nieboszczyka.

Wśród łkania zebranych ujęli koledzy Zmarłego — trumnę na swoje ramiona, wynieśli z kościoła i złożyli na lawecie armaty przybranej w zieleń. kwiaty i wieńce.

Przy dźwiękach marszu Bethovena ruszył orszak żałobny.

Przodem postępował 8. p. ułanów z muzyką, duchowieństwo, honorowy batalion 20 p. p. z orkiestrą, wreszcie olbrzymi zastęp delegacyi wojskowych wszystkich rodzajów broni z przeszło 30 wieńcami. Kondukt zamykała baterya armat i oddział konnej policyi.

Do grobu ponieśli trumnę koledzy Poległego przy dźwiękach orkiestry 8. p. ułanów.



Jeszcze jedna ofiara walk bratobójczych: Rotmistrz ś. p. Franciszek Łukasiewicz.



Ratunek plant Dietlowskich: Młodzież szkolna przy okopywaniu drzew.

Nad grobem przemówił imieniem Ministerstwa wojny i Prezydenta Rpltej gen. Dziewanowski, imieniem pułku rotmistrz H. Jakubowski.

Baterya oddała salwę honorową.

Ś. p. Franciszek Łukasiewicz, rotmistrz i d-ca 3 szwadronu 8. p. ułanów im. ks. J. Poniatowskiego był kawalerem orderu Virtuti militari i 2-krotnie odznaczony Krzyżem walecznych.

Ciężko ranny, podczas krwawych rozruchów krakowskich w dniu 6 listopada b. r. po długich męczarniach w szpitalu zmarł w 27 roku życia.

Cześć pamięci zacnego syna Ojczyzny i bohaterskiego żołnierza!

Ratunek plant Dietlowskick.

Planty Dietlowskie zniszczone prawie zupełnie w czasie wojny, a jeszcze bardziej po wojnie przez wandalizm okolicznych mieszkańców — wymagają na gwałt ratunku. Dość powiedzieć, że na trawnikach i gazonach ziamia została tak ubita, że nie przepuszcza już wody do korzeni drzew, skazanych wskutek tego na niechybną zagładę.

Towarzystwo miłośników drzew tak pieczołowite, gdzie chodzi o ochronę przyrody — pod kierunkiem swego prezesa p. Stanisława Syca — zwróciło uwagę na obumierające Planty Dietla i postanowiło je uratować.

Widzimy na rycinie — rzesze młodzieży, zajętych okopywaniem drzew, z których — niestety! — wiele już uschło od korzeni.

Piękny cel połączony ze zdrową hygieniczną rozrywką fizyczną — jest godny podniesienia, a wdzięczność i uznanie należy się przewodnikowi tej pracy i prezesowi Towarzystwa — p. St Sycowi.

Praca około ratunku Plant jest tem więcej wskazaną i naglącą, ile że fundusze Miasta nie wystarczą na ich odnowę — społeczeństwo więc, a przedewszystkiem młodzież powinna do pięknego tego dzieła przystąpić z wydatną pomocą.

Zamach trucicielski na twórcę Młodej Turcyi.

Mustafa Kemal basza, którego nazwisko związane tak ściśle z ostatnimi dziejami Turcyi — nie zaginie z pewnością w najpóźniejszych dziejach tego narodu — ma jak każdy wybitny człowiek w każdym kraju i każdem społeczeństwie — swoich przeciwników i wrogów.

I Kemal basza nie jest wyjątkiem od tej tragicznej zasady.

Niedawno temu z okazyi jakiejś uroczystości wydano w Angorze wspaniałe przyjęcie, w którem brał udział i bohaterski Kemal wraz z swoją młodą i piękną małżonką Latofée Hanum.

Przy wetach poczuł nagle Kemal, że mu się słabo robi, a tym samym objawom uległa równocześnie i jego żona.

Dzięki tylko natychmiastowej pomocy lekarskiej zdołano uratować ich życie, przyczem skonstatowano ponad wszelką wątpliwość, że dostojnemu małżeństwu podaną została trucizna.

Kto dopuścił się łotrowskiego zamachu na życie wskrzesiciela wielkiej i potężnej Turcyi — na razie niewiadomo.

Jako uzupełnienie niniejszego podajemy w dzisiejszym numerze podobiznę Kemala baszy wraz z jego małżonką.

Zmierzch pracującej inteligencyi.

(Do illustracyi na stronie jedenastej).

Rycina nasza uzmysławia graficznie (rysunkowo) stosunek zarobków w różnych zawodach w ostatnich ośmiu latach.

Tabelka ta daje bardzo smutny pogląd na uposażenie materyalne pracującej inteligencyi.

Jak widzimy zarobki robotnika, rzemieślnika, a częściowo także i urzędnika prywatnego — wzrosły w niepomierny sposób, natomiast zawody urzędnika państwowego, adwokata i lekarza spadły ogromnie.

Jest to bez kwestyj niezdrowy objaw społeczny, w społeczeństwie bowiem normalnie żyjącem i rozwijającem się — musi panować pewna równomierność uposażenia pracujących, z uwzględnieniem walorów zarówno fizycznej jak umysłowej pracy.

Do tej równowagi dąży społeczeństwo i miarodajne kierujące niem czynniki i nie trzeba tracić nadziei, że i pracująca inteligencya pogrążona obecnie w „zmierzchu ekonomicznym" — doczeka się kiedyś - - świtania.



Zamach trucicielski na twórcę młodej Turcyi: Mustafa Kemal basza i jego żona Latofée Hanum.

Zaślubiny na dworze angielskim.

Królewski dwór angielski, jeden z najkulturalniejszych i najpopularniejszych w całym świecie, cieszy się w własnej ojczyźnie wielką miłością wszystkich sfer społecznych.

Konstytucya angielska nader humanitarna i niemal republikańska — zostawia w istocie królowi „mało co do gadania" w sprawach rządzenia.

To zdaje się jest powodem, że w Anglii nie ma prawie nigdy groźnych konfliktów między panującym a parlamentem lub ludem. Król zajmuje tam rolę dobrego ojca narodu, a władcy W. Brytanii umieją tę rolę odgrywać i z godnością wysoki swój urząd piastować.

Naród angielski interesuje się też żywo wszystkiem, co dotyczy domu królewskiego i bierze serdeczny udział w jego losach.

Takie zainteresowanie wzbudziły też powszechnie ostatnie zaślubiny w panującej rodzinie.

A mianowicie księżniczka Maud, siostrzenica króla angielskiego wydaną została za lorda Carnegie, najstarszego syna lorda Earla of Sonthesk w Londynie.

Rycina nasza przedstawia nowo poślubioną parę w chwili gdy wychodzi z kaplicy.



Zaślubiny na dworze angielskim: Księżna Maud siostrzenica króla angielskiego i jej małżonek lord Carnegie





Jak w Rosyi sowieckiej płaci się podatki? Nieskończony korowód chłopskich furmanek wiozących „podatek" w naturalnych produktach do najbliższego miasteczka.

Jak w Rosyi sowieckiej płaci się podatki?

Ktoś zobaczywszy odnośną do tego artykuliku rycinę, pomyśli zapewne: Acha! Jakiś zjazd chłopski na wesele lub wybory, a może jarmark w miasteczku, na który wieśniacy wszyscy podążają furami i bryczkami naładowanemi wszystkiem, co kto tam ma do sprzedania na targu!

Bynajmniej! Ten nieskończony korowód ładownych bryk i fur ciągnie do najbliższego miasta, lecz nie w celu handlowania.

Rosyjskie „mużyki" — wiozą podatek „w naturaliach", by zaspokoić wiecznie głodnego skarbowego molocha sowieckiego. Trzeba bowiem wiedzieć, że prócz świadczeń pieniężnych na rzecz skarbu, są wieśniacy obowiązani w Rosyi do składania trybutu i z tego co się urodzi w polu czy oborze. A więc zboża, nabiału, trzody, etc.

Trybutem ludzkiej trzody — w postaci rekruta opłacać się muszą jeszcze dotkliwiej uciemiężeni chłopi „Matuszki Rosyi".

Cierpliwy chłop rosyjski znosi wszystko. Czy jednak długo jeszcze znosił będzie?

Z „raju" bolszewickiego.

Przewrót bolszewicki wstrząsnął nietylko podstawami społecznemi Rosyi, ale ten sam destrukcyjny objaw zauważyć się daje w każdej dziedzinie życia.

Zniszczony handel i przemysł, ruch komunikacyjny w zastoju, sprawy oświaty publicznej w najgorszem zaniedbaniu a ogólna kultura nietylko w zupełnym zastoju, ale rzec można, cofa się szybkim krokiem wstecz, a każdy krok liczyć można na dziesiątki lat.

Tępienie pogardzanej i prześladowanej inteligencyi przybrało rozmiary jakiejś dzikiej, fanatycznej orgii nienawiści.

Tą „inteligencyę" pozbawiają i wydzierają jej wszystko, począwszy od kawałka chleba, w dosłownem niemal znaczeniu, skończywszy na tem co życie może upiększać i w tych nawet warunkach znośnem je uczynić.

Obrazy, lepsze meble i urządzenie wszystko to przechodzi na „własność ogółu" — motłochu trafniej mówiąc, ludzi półdzikich, którzy ledwie, że znają użytek dóbr zrabowanych.

Rycina nasza przedstawia uliczną scenę w Moskwie. Wyśledzono gdzieś u „burżuja" — fortepian. Dalej z nim na ulicę! Zatknięto na nim sztandar sowiecki. Znajdzie się zapewne i jakiś grajek z ostatniej spelunki knajpowej i będzie wygrywał sprośne pijackie piosenki dla rozweselenia gawiedzi!



Z „raju sowieckiego": Tłum otacza zrabowany fortepian z zatkniętym na nim „zwycięzkim" sztandarem Bolszew

Tajemnice grobu Faraona.

Mistyczno-tragiczne są dzieje odkrycia grobu faraona Tutankhama w Egipcie.

Skarby, o jakich wyobrażenia nikt nie ma otwarły się jak za dotknięciem czarodziejskiej Wróżki-Nauki przed zdumionym światem.

Skarby to i w materyalnem słowa znaczeniu, stokrotnie jednak większa ich wartość historyczna i naukowa.

Dokoła skrzepniętej od tysięcy wieków mumii czcigodnego władcy starożytności nagromadzone są bezcenne poprostu posągi ze złota i srebra, przecudowne rzeźby z kości słoniowej i bronzu i t. p. przedmioty, które Anglicy chcieli w krótkiej drodze wyekspedyować z Egiptu do swych muzeów.

I nikt z żyjących nie zdobył się na silny a skuteczny protest przeciw profanacyi spokoju faraona i grabieży jego pośmiertnej własności.

I tu zaczyna się legenda — staro-egipska legenda w XX. wieku. Legenda legendą, jest jednak zastanawiającym ten bezwarunkowo dziwny zbieg okoliczności.

Pierwszy odkrywca grobu Tutunkhama, lord Carnarven zmarł zagadkową śmiercią, jego sekretarz i dwóch następców uczonego rozstało się również z życiem, a śmierć ich zostaje w jakowymś przyczynowym związku — (tak mówią) — z profanacyą grobowca.

Abstrachując cały mistycyzm złączony z archeologicznemi poszukiwaniami w Egipcie i biorąc rzeczy zupełnie pozytywnie, stwierdzić trzeba, że odkrycie to jest epokowem dla egiptologii.

Jest to domniemany grobowiec króla Tutankhama z dynastyi XVIII., który panował w Telelomoru i Tebach od roku 1358 — 1350 przed Chr

Z cenniejszych skarbów znaleziono w podziemiach: sarkofag z kości słoniowej, ozdobiony drogimi kamieniami, skrzynie ozdobione malowidłami przedstawiającemi sceny myśliwskie, gród wspaniałego wykonania, ozdobiony drogimi kamieniami, malowidłami i rzeźbionemi postaciami króla.

Za pierwszą komnatą natrafiono na drugą, w której znaleziono złoty sarkofag, skrzynie i wazy alabastrowe. Za temi dwiema komnatami znajduje się jeszcze trzecia. W której znaleziono zwoje papyrusowe, których odczytanie wyjaśni iczne szczegóły.



Tajemnice grobu Faraona: Wydobywanie cennych zabytków z grobowca Tutunkhama.



Tajemnice grobu Faraona: Straż u wejścia do grobu Faraona

Fryderyk Mauzens.

Z BAGNA PARYŻA

4

— Poślubiłem sierotę bez majątku.. Rodzice jednak pozostawili mi około miliona franków w spadku... Wyszedłem ze Szkoły Centralnej i wziąłem się do przemysłu.. Przyszłość dla naszego młodego gospodarstwa zapowiadała się więc bardzo dobrze... W roku 1897 poznałem u swego kuzyna Wiktora, twego ojca...

— Teraz — przerwał Piotr — przypominam sobie niewyraźnie tego wuja Juljana, który przynosił mi cukierki!..

— Poznałem Maksyma Dureta i jego siostrzenicę, a zarazem pupilkę, pannę Łucyę Duret... Miała wtedy ośmnaście lat... Jej piękne i regularne rysy, jej zimna i wyniosła postać, wywarły na mnie wielkie wrażenie.. Magdalena zaś była raczej miła niż piękna, wywierała urok swoim wdziękiem i łagodnym wyrazem twarzy...

— Jak Ludwika... — szepnął Piotr.

— Jednem słowem była przeciwieństwem Łucyi Duret... Mimo to, a prawdopodobnie właśnie z powodu tego, młoda panna podobała mi się bardzo... Nie mogłem powstrzymać się, by jej tego nie okazać... Spotykałem ją często i spostrzegłem, że stara mi się podobać... Zacząłem się więc flirt, który ona prowadziła nie wiem z jaką ukrytą myślą, podczas gdy ja tylko z naiwnością i prawdziwie widywałem jej i mówiłem z nią...

— Było to tak zwane igranie z ogniem... — odezwał się Piotr.

— Ona na moja nie zwracała na to uwagi... Przedewszystkiem dla rozmów swoich i flirtowania nie wybieraliśmy tych chwil, gdy ona była koło nas... A przy poczciwszy nawet, że może i domyślała się czego, to tak jednak była spokojna, cicha i pełna miłości, iż nie przywiązywała do tego żadnego znaczenia..

— Aż wreszcie pewnego dnia rozegrał się dramat... Zna z go już... Zastąp nazwisko Karola Turnera nazwiskiem Jana de Tourville'a i pałacyk przy ulicy Godot de Mauroi na pałacyk przy ulicy Algier a będziesz miał dokładnie to samo, co tobie się przytrafiło...

— Czy ja powiedziałem wujowi, że z opisu służby w tym pałacyku poznałem toaletę Ludwiki?

— I ja również poznałem toaletę Magdaleny.. O wyrazie twarzy tylko się nic nie dowiedziałem.. Miała zakrytą gęstym woalem...

— Zupełnie tak samo jak kobieta, która przychodziła do Karola Turnera...

— Nic dziwnego Łatwiej naśladować czyjeś ubranie, niż stać się podobnym do danej osoby!

— A więc — zapytał Piotr — wuj sądzi, że Duretowie..

— Napisali i podrzucili te listy!

— By doprowadzić do rozwodu?

— Tak!

— I aby potem młoda panna mogła zostać wuja żoną?

— Tak... Nie kochała mnie wcale... Miny jej, choćby najczulsze, nie dawały mi nawet złudzenia miłości... Byłem jednak bogaty i wszystko świadczyło, że zostanę jeszcze bogatszym...

Miliarder przestał mówić. Słychać było tylko głuchy szum fal, rozbijających się o boki okrętu i trzepotanie płótna żaglowego, rozciągniętego nad balustradą. Piotr nie spostrzegł wcale, że tył czapki jego i futro na plecach były zupełnie zmoczone. Lewis Jackson bez zmrużenia powiek wytrzymywał porywy wiatru, bijąc go mu wprost w twarz i siekący deszcz słonej wody.

— Ja zresztą nie brałem rozwodu... — zaczął mówić dalej miliarder. — Poprostu wypędziłem od siebie swą żonę... Wypędziłem ją wśród pczekleństw...

Głos jego drżał lekko.

— Potem pojechałem zaraz do Ameryki.. Mój flirt z Łucyą nie był niczem więcej, jak tylko flirtem... Nigdy nie przestałem kochać Magdaleny, kochać jej ponad wszystko na świecie i myśl, że jej czystość, jej słodycz, jej uczucie dla mnie były udane, myśl, że ona mnie zdradzała, przyprawiała mnie o szaleństwo...

— Nie myśląc ani chwili pocieszyć się z panną Duret, nie pragnąc nawet ujrzeć jej, choćby jeszcze jeden raz tylko, uciekłem przed swem cierpieniem, uciekłem przed niem aż za Ocean, gdzie już zostałem i czyniłem niemożliwe wysiłki, by o wszystkiem zapomnieć...

Piotr nie słuchał go.

— Nędznicy! — powtarzał. — Nędznicy!

Najszybszy okręt transatlantycki posuwał się dla niego zbyt powoli. Jakże żałował, że nie jest teraz na lądzie i nie pędzi na jednym ze swoich samochodów, pędząc po sto kilometrów na godzinę.

— Dopiero za pięć dni — rzekł — będziemy ich mieli.

— Kogo będziemy mieli? — zapytał Lewis Jackson.

— Dureta i panią Łagunan.

— A eż, mój chłopcze, ... am wcale nie chodzi o to, by po przyjeździe zaraz się z nimi rosprawić... Jestem najgłębiej przekonany o ich winie.. By ich jednak osądzić, nie dość jest moralnego przekonania, opartego na zbiegu okoliczności... Potrzebny jest dowód niezbity... I o zdobycie tego dowodu będziemy się przedewszystkiem starali.

— A gdy go zdobędziemy? — zapytał młody człowiek.

Jakiś błysk stalowy zaświecił na chwilę w głębi szarych oczów miliardera.

— Wtedy ich ukarzemy! — odrzekł.

X.

— Panno Ewo! Od wczoraj rana nie widziałem wcale pani sąsiadki, panny Dubois!

— Więc cóż z tego?

— Jestem pewna, że nie wychodziła wcale. Musi być chora!

— A gdybym tak, pani Ladroule, przechodząc koło niej, zapukała do jej drzwi?

— Dobrzeby pani zrobiła.

Panna Ewa, dwudziestoletnia praczka, była piękną brunetką. Pani Ladroule natomiast, była to stara, przygarbiona stróżka o czerwonym nosie i szarej peruce tak zakurzonej, iż zdawać się mogło, że wszystek kurz z pokoi, jakich dozorowała, spadł jej na włosy. Od tygodnia Ludwika była jedną z jej lokatorek. Pokój, zajmowany przez nauczycielkę znajdował się na szóstem piętrze na mansardzie, z oknem wychodzącem na ulicę Laugier. Już dwanaście dni upłynęło, odkąd opuściła dom państwa de Lagunan.

Baronowa płacąc młodej pannie to, co jej się należało, a było tego bardzo nie wiele, chciała okazać się hojną i do należącej jej jeszcze kilkanaście franków, by nieszczęśliwa nauczycielka miała na pierwsze potrzeby. Ludwika jednak odmówiła tego daru w sposób tak stanowczy, iż baronowa nie śmiała już nalegać. Mając więc w kieszeni całego majątku sześćdziesiąt franków, znalazła się na paryskim bruku. Swe pozrzednie oszczędności, nie się odziewając się tego ciosu, wydała w ostatnich dniach na ubranie. Wiedząc, że Piotr ją kocha, chciała mu się jeszcze więcej podobać i dlatego starała się ładnie ubierać. Bolałoby ją to, gdyby znajdował zbyt wielką różnicę między nią a kobietami tego świata, w którym żył. Stała się więc bezwiednie elegantką, choć w bardzo skromnym zakresie, wiadomo jednak, co kosztuje skromna elegancya. Kilka niedrogich bizuteryi, jedna suknia do wyjścia, dwie do domu i kapelusz od dobrej modystki, wyczerpały prawie wszystkie jej fundusze.

Zamieszkała z początku w małym, skromnym hoteliku i rozpoczęła starania o znalezienie dla siebie jakiegoś zajęcia. Nie chciała udawać się do nikogo ze znajomych z prośbą o pomoc. Wszyscy wiedzieli, że jest u baronostwa de Lagunan i musiałaby im opowiadać, dlaczego stamtąd odeszła. Wyznanie to było po nad siły młodej panny. Zdając sobie jasno sprawę, że mimo jej zapewnień, świat cały uzna ją za winną, wolałaby umrzeć z głodu, niż opowiadać komukolwiek o dramacie, jakiego się stała ofiarą.

„Postaram się sama zaradzić sobie" — takie było jej postanowienie.

Musiała jednak zapomnieć o tym dramacie, jeżeli chciała zachować siły do pracy. Ten cios, który zburzył odrazu całe jej szczęście, omal nie zniszczył i całej jej energii i nie pomieszał jej zmysłów. A przytem to dziwne, tajemnicze znalezienie między jej papierami listów miłosnych, podpisanych przez jakiegoś nieznanego Karola Turnera, mogło naprawdę przyprawić ją o obłąkanie. Należało więc odpędzić od siebie te wspomnienia, nie oddawać się przestrachowi i rozpaczy, jakie ją ogarniały... Jeżeli nie opanuje siebie, będzie to dobrowolne samobójstwo, powolna, lecz niechybna śmierć... Pierwszym jej obowiązkiem jest żyć... I ona będzie żyła...

Po pięciu dniach kasa jej zmiejszyła się o dwadzieścia dwa franków, a ani na krok nie posunęła się naprzód w zdobyciu jakiegokolwiek zajęcia. Opuściła hotel i wynajęła mały, pusty pokoik na poddaszu przy ulicy Laugier. Komorne wynosiło sto franków na rok. Zapłaciła z góry za niego za kwartał i wynajęła na miesiąc skromne meble, składające się z łóżka żelaznego, stołu, krzywej komody i dwóch wyplatanych słomą krzeseł. Dała jeszcze dwa franki stróżce i zostało jej się wszystkiego tylko pięć franków. Sprzedała więc swoje bizuterye i znalazła się w posiadaniu stu franków, lecz po tygodniu miała już znowu czterdzieści centymów.

W tym czasie stała się ofiarą oszustwa bi ra stręczeń pracy, które wzięło od niej różne wpisowe, zadatki i policzyło sobie inne koszta, a nie dało jej żadnego zajęcia. Z ostatniemi pieniądzmi poszła do piekarza, by kupić sobie żywności jeszcze na jeden dzień.

„Nie zabijam siebie — rzekła do siebie. — I nie zabiję się. Aż do końca będę robiła wszystko, co możliwe, aby tylko żyć. Nie jest jednak winą człowieka umierającego z głodu, gdy nie ma co jeść. Jeszcze trochę cierpliwości i zakończę swe życie, nie czyniąc sobie najmniejszego wyrzutu, żem czegoś zaniedbała".

Chleb niknie szybko, gdy się nie ma nic więcej do jedzenia i gdy pije się tylko wodę. Tego wieczora Ludwika zjadła ostatni kawałek chleba. Obecnie była już na czczo od wczorajszego dnia. W żołądku czuła jakieś bóle, głowa jej ciężyła spokojnie, nie oburzała się na nikogo. Nie miała zresztą na kogo się oburzać. Nie domyślała się nawet, kto mógł być sprawcą jej nieszczęści. Nie miała żalu do nikogo; cierpiała tylko, oczekując śmierci. Piotra miała ciągle przed oczami.

„Gdyby on wiedział! — myślała — Lecz on nie może wiedzieć... Nigdy się nie dowie... Wszystkie pozory świadczą przeciw mnie i może tylko widok mej boleści przekonałby go, że jestem niewinna... Lecz czyż dlatego, że zwrócił na mnie swe ocsy, mam iść teraz, kiedy mnie odepchnął nie prawie liwie, czołgać się przed nim na kolanach? Od... tywać się do jego serca?.. By być szczęśliwym, nie potrzebuje tak biednej dziewczyny, jak ja..."

Była zrezygnowana. Tymczasem gdy koło południa zakradł się do jej ciemnej izdebki słaby promień słońca, zaczęła płakać nad sobą. Wkrótce usłyszała, że ktoś puka do drzwi. Nie odzywała się wcale. Zapukano znowu, lecz już silniej.

— Boże mój! Czyż nie pozwolą mi umrzeć spokojnie?

— Proszę pani! — woła jakiś dźwięczny, świeży głos.

Ludwika podniosła się, chwyciła za poręcz łóżka, oparła się o ścianę i tak dowlokła się do drzwi. Miała zresztą do zrobienia tylko trzy kroki. Otworzyła drzwi i ujrzała młodą pannę, która mieszkała na tem samem piętrze, lecz w drugim końcu korytarza, zajmowała pokój większy, niż jej, a przedewszystkiem lepiej umeblowany.

— Przepraszam... — rzekła Ewa. — Stróżka mi mówiła, że nie widziała pani od wczoraj rana.. Obawiałyśmy się, że pani może jest chora i dlatego ośmieliłam się... jako sąsiadka... przyjść zobaczyć, czy pani czego nie potrzebuje...

— Nie, proszę pani, niczego.. Dziękuję bardzo...

Ludwika mówiła to głosem tak słabym i z takim wysiłkiem, iż zwróciło to uwagę Ewy.

— Czy naprawdę pani niczego nie potrzebuje? — nalegała praczka.

— Nie, wszystko mam...

Brakowało jej tylko chleba, takich jednak rzeczy nie mówi się nikomu. A przytem chciała już raz umrzeć.

Ewa stała przy drzwiach niezdecydowana. Widziała wyraźnie, że panna Dubois nie mówi prawdy. Z drugiej jednak strony trudno było odgadnąć, czego potrzebuje, a gdyby się nawet i domyśliła, to nie wiedziała, jak ją skłonić do przyjęcia pomocy. Niepewność jej jednak nie trwała długo. Z piersi jej wyrwał się krzyk przerażenia. Ludwika zachwiała się nagle i padła bez sił na podłogę. Dobra jej sąsiadka, nie tracąc przytomności, wzięła, podniosła nauczycielkę i zaniosła na łóżko. Ludwika przyszła natychmiast do siebie.

— Co się stało?.. — zapytała szeptem. — Ach! upadłam, ale to nic,..

Praczka ujrzała na stole okruszyny chleba i niedopitą szklankę wody. Wobec tych dowodów domyśliła się odrazu trybu życia swej sąsiadki.

— Proszę powiedzieć! Pani jest głodna? — szepnęła, nachylając się nad Ludwiką.

Twarz nauczycielki pokryła się rumieńcem. Miała jeszcze tyle krwi iż mogła się zarumienić, z tego, że jest głodna.

— Nie! — odrzekła.

— A ja wiem — odparła stanowczo — iż pani nie jadła nic ani wczoraj, ani dzisiaj... Przyniosę pani filiżankę bulionu...

Nie, dziękuję... Nie chcę...

Było to powiedziane głosem tak żałosnym i omdlałym, iż dobra praczka przez chwilę stała w milczeniu, po czem naraz wybuchła płaczem.

— Boże mój! Boże mój! — zawołała, klękając przy łóżku i obejmując Ludwikę rękami. — Jaka pani musi być nieszczęśliwa.

Młoda panna, osłabiona z głodu i nie wiedząc dobrze, co się z nią dzieje, leżała bez ruchu.

— Tak — powtarza Ewa. — Czuję, że pani jest nieszczęśliwa! I dlatego mi tak przykro!

Ludwika przestała płakać, gdy z pukano do drzwi, teraz jednak na nowo polały się łzy, obfitsze, lecz nie tak już gorzkie. Nie mogła sprzeciwić się już okazywanej sobie dobroci. Nie miała zresztą już sił do opierania się czemukolwiek.

— Jak się pani nazywa? — wyszeptała.

— Ewa Geraud.

— Ewa... — powtórzyła Ludwika.

Nie mogła jednak dokończyć. Tylko w jej szarych wielkich oczach malowało się tyle wdzięczności, iż trudno było wyrazić ją słowami. A te oczy, gdy chciały, mogły mówić tak wymownie. Nieraz patrzały milcząco Były wtedy tylko piękne, świetlane i jasne, lecz nieme. Potem ożywiały się nagle Budziło się w nich życie. Nie jaśniały więcej niż przedtem, lecz rodził się w nich jakiś błysk, który z taką siłą wyrażał ukrytą myśl lub czucie, iż każdego przejmował.

— Och! — rzekła praczka. — Jaka pani jest piękna!

Teraz Ludwika była mniej piękna, niż kiedykolwiek. Na jej wychudłej i bladej twarzy łzy wyżłobiły jakieś czerwone bruzdy. Szare oczy opromieniały tylko całą postać. Ewa zaś była więcej niż ładną, była prawdziwą, skończoną, klasyczną pięknością. Rysy jej były nadzwyczaj regularne, cera biało malowana, zęby małe i perłowe. Czarne jej włosy były dwa razy dłuższe niż włosy Ludwiki. Jej czarne aksamitne oczy nie były tak wielkie jak nauczycielki i nie miały tego uroku magicznego, pobudzającego serca do żywszego bicia. Świeciły się jednak i one jak dwa brylanty.

Tymczasem piękna praczka powstała i wycierała sobie łzy. Przybrała znowu wyraz stanowczości rzekła:

— Niech pani się nie rusza, tylko czeka spokojnie!

I lekkim krokiem wybiegła szybko z pokoju.

XI.

„Victoria" wpłynęła po południu do przystani Cherbourga. Lewis Jackson, jego sekretarz i Piotr Cartalegue siedzieli w wagonie i jechali do Paryża. Miliarder i siostrzeniec jego stali na korytarzu i rozmawiali ze sobą. Była godzina dziewiąta wieczorem i pociąg dojeżdżał już do stolicy Francyi, gdy Lewis Jackson rzekł do swego towarzysza:

— Mam pewien projekt!

— Jakiż? — zapytał Piotr.

— Nie mów nikomu, że jestem miliarderem!

— Dlaczego?

— Będziemy prowadzili śledztwo... ja swoje o tyle swobodniej, że nikt na mnie nie będzie zwracał uwagi... nie wiedząc o mojem bogactwie, nie będą mnie się obawiali...

Ależ nazwisko Lewisa Jacksona jest znane powszechnie w Paryżu, a zna je zwłaszcza Maksym Duret, który sam się zajmuje interesami...

— Będę się też we Francyi nazywał tylko Juliuszem Maixent..

— To co innego!

— Umyślnie, najlepiej będzie, jeżeli zjawię się z Ameryki nie jako bogaty wujaszek, lecz jako biedny krewniak.. Zdaje mi się, że zewnętrzny mój wygląd nie wielkie da świadectwo o mej zamożności

Ktoby będzie oceniał Lewisa Jacksona po ubraniu, jakie miał na sobie, źle skrojonym garniturze i cienkiem paletku, nie zupełnie będzie miał wyobrażenie o jego dochodach.

Po sześciu dniach podróży, z których pięć i pół spędził przeważnie na pokładzie bez względu na pogodę, ubranie jego zupełnie zło się w godnym politowania stanie. Sekretarz jego, Smith, zachodził w głowę, co mogłaby znaczyć ta dziwna i nagła zmiana w przyzwyczajeniach pryncypała. Nie śmiał się o to pytać, nawet najdyskretniej, gdyż Lewis Jackson nie należał do tych, którym można zadawać pytania dla zaspokojenia własnej ciekawości.

„Czy to jest zakład?... Wiedziałyby jednak o nim i pisały dzienniki.. Może nie leży teraz do jaj jej sekty, może do Armii Zbawienia, która nakazuje swym członkom prowadzenie życia w ubóstwie!... Lecz i to stałoby się wiadomem... Jużby o tem pisali... I on z eroze ityzmu głosiłby to powszechnie... A więc"?...

Gdy po raz setny już szukał w głowie rozwiązania tej zagadki, przypatrując się jaśniejącemu w oddali milionami świateł Paryżowi, w przedziale zjawiła się naraz wysoka i szczupła postać miliardera.

— Hallo! Smith! Proszę tutaj.

Sekretarz, również wysoki i chudy jak jego pryncypał, jednym krokiem zmierzył całą długość przedziału i znalazł się odrazu na środku korytarzyka.

— Dla pana, panie Cartalegue — rzekł business man — i dla wszystkich, kogo tylko poznamy, będę się nazywał teraz Julianem Maixent.

— Julian Maixent?

— Tak!

— Jak się to pisze?

Miliarder powtórzył swe nazwisko litera po literze.

— *All right!* — odrzekł Smith.

— To już wszystko.

Sekretarz wrócił do przedziału, siadł w kącie i zamyślił się znowu nad rozwiązaniem zagadki, która coraz bardziej się komplikowała. Pociąg zagłębiał się w tunel dworca Sant-Lazare i w minutę potem stanął na peronie Wagony otworzył się i publiczność zaczęła spieszyć do wyjścia. Piotr wyprzedził wszystkich. Lewis Jackson musiał biedz za nim, by go dogonić.

— Dokąd idziesz? — zapytał miliarder.

— Do Dureta

— Nie troszcząc się nawet o mnie? Wstrzymaj się! Pozwól mi zrobić samemu tę wizytę!

— Dlaczego?

— Bo brak ci, mój chłopcze, zimnej krwi.

— Mnie?

— Ma się rozumieć! Och! masz jej dosyć przy kierowniku samochodowym.. Wiem o tem... Zakręty jednak na drodze życia są trudniejsze od tych, jakie spotkasz, kierując samochodem... Zrobisz mi więc tę przyjemność, iż powrócisz do siebie i będziesz na mnie oczekiwał w domu...

Piotr nie opierał się. Lewis Jackson mówił spokojnie, głos miał cichym, lecz tonem, który nie dopuszczał protestów.

Młody człowiek zapytał jednak:

— Czy nie mógłbym, zamiast powracać do siebie, iść do Ludwiki?

— Nie wiesz, gdzie mieszka.

— Odszukam ją...

— A gdy ją znajdziesz?

— Powiem jej...

— Nie jesteśmy jeszcze zupełnie pewni jej niewinności — przerwał Lewis Jackson. — Wierzymy, nie możemy jednak twierdzić stanowczo, że jest niewinna

— A więc?

Na razie więc nie możesz nic przedsiębrać i dlatego nie powinieneś jej się pokazywać.. W przeciwnym bowiem razie powtórzy znowu: „Stałam się ofiarą ohydnego podstępu!" A co ty jej na to odpowiesz?

— Że wiem o tem!

— Powtarzam ci znowu, że przecież nie jesteś zupełnie o tem przekonany!

— Nie mogę jej jednak powiedzieć, że wątpię...

— Właśnie! Powinieneś więc siedzieć spokojnie! I dlatego radzę ci, byś odłożył na później to spotkanie! Roztropność jest często największym dowodem odwagi, jaki człowiek może dać i o nic innego, tylko o to cię teraz proszę.. Jeszcze raz powtarzam, wracaj do domu..

Piotr poddawał się wpływowi Lewisa Jacksona. Uścisnął na znak zgody rękę, którą mu podał miliarder i zapytał

— A wuj dokąd idzie?

— Dokąd ty chciałeś iść.

— Do Dureta?

— I do pani de Lagunan... Do widzenia!

Business man uścisnął znowu silnie rękę młodego człowieka i zawołał swego sekretarza, który stał o kilka od nich kroków.

— *Hallo!* Smith! niech pan każe przenieść nasze bagaże do hotelu Tuilleries-Palace i zamówi apartament pod nazwiskiem Lewisa Jacksona!

All right!

Miliarder wyszedł szybko z dworca i siadł do pierwszej przejeżdżające dorożki.

W kwadrans potem dzwonił do drzwi małego pałacyku przy ulicy Ampere.

— Zastałem panią de Lagunan? — zapytał Małgorzaty, która otworzyła mu drzwi.

— Pani wyszła — odpowiedziała pokojówka.

Późna godzina i skromny ubiór gościa podyktowały jej tę odpowiedź.

— W takim razie poczekam — odrzekł Lewis Jackson, wchodząc do środka.

— Tutaj?

Naturalnie.

I miliarder posunął się naprzód w westibulu. Subretka zdziwiona jego pewnym i rozkazującym tonem, zawahała się przez chwilę, potem obróciła się zgrabnie na obcasach i znikła.

W minutę potem pojawiła się znowu i rzekła:

— Pani baronowa zaraz przyjmie pana.

Lewis Jackson został wprowadzony do salonu i znalazł się w obecności pani de Lagunan.

Miliarder skłonił się, na co baronowa stojąc, odpowiedziała mu lekkiem skinieniem głowy.

Pani mnie nie poznaje?

Łucya zadrżała. Nie. nie poznawała swego dawnego partnera we flircie Julia Maixent nosił poprzednio zarost, teraz twarz jego była zupełnie wygolona. Przytem zmarszczki, ostrość rysów i surowość wejrzenia zmieniły doszczętnie wyraz twarzy dawnego ucznia Szkoły Centralnej. Ponadto zeszczuplał i można by powiedzieć, że wyrósł. Głos jego tylko pozostał prawie ten sam, choć z pewnym odcieniem ostrości i szyderstwa i lekkim akcentem cudzoziemskim jego języka Ten głos właśnie przypomniał o drżenie baronową.

— Gdzież ja go słyszałam? — pomyślała.

Lewis Jackson skłonił się znowu i rzekł:

— Jestem Julian Maixent.

Łucya de Lagunan pobladła. Powieki jej przymknęły się.

Przez chwilę zachowywała milczenie, potem rzekła cokolwiek zmienionym głosem:

Cieszę się, że pana widzę..

Nie okazała pozatem żadnego wzruszenia. Na widok jednak tego człowieka, który starał się o nią przed dwudziestu laty i znikł nagle po dramacie, jaki urządziła do spółki ze swym wujem, zmiesz ła się bardzo i z trudem tylko zapanowała nad sobą. W przeciągu jednak pół minuty pani de Lagunan odzyskała zimną krew i rzekła swym zwykłym już głosem:

— Proszę, niech pan siada..

Siadł na fotelu. Nie wiedziała, co myśleć o tej dziwnej i niespodziewanej wizycie. Była trochę zaniepokojona.

— Czego on chce odemnie? — myślała. — Jak się postarzał! Jak biednie wygląda!

Lewis Jackson siedział naprzeciwko pani domu.

— Przybywam z Nowego Jorku — zaczął bez żadnych wstępów — gdzie spotkałem młodego Cartelegue'a...

— Ach! tak? — odezwała się baronowa z pewnem drżeniem.

— Biedny chłopiec opowiedział mi swój zawód sercowy...

Pani de Lagunan uczuła się jak zmrożoną od stóp do głowy. Na dnie tego niepokoju, jaki nią owładnął, gdy Julian Maixent wymienił swe nazwisko, leżała obawa nieokreślona jeszcze lecz straszna, czy przypadkiem nie dowiedział się o przygodzie Ludwiki Dubois. Podobieństwo jej przygody i Magdaleny Maixent było bardzo wyraźne, a przez to i niebezpieczne. Obawa, do której baronowa nie śmiała przyznać się nawet przed sobą, przy pierwszych słowach gościa zamieniła się w pewność niebezpieczeństwa, jakiego nie przypuszczała nigdy siostrzenica Maksyma Dureta.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Tajemnicze oczy.

(Powieść na tle notatek amerykańskich dedektywów).

3

„Możnaby przecież dopatrzeć się jakiegoś zaniepokojenia w jej obejściu wobec tego, że sprawą kradzieży zajęła się już policya; a ona taka była swobodna, taka ożywiona, a jaka miła, ile tam wdzięku w tej osobie. To ciekawe, że w obecności Aldevaldta obdarzała mnie takiemi spojrzeniami i tak bardzo starała się ująć, jakby jej na nim nic nie zależało. A przecież wiem od Duranda, że go kocha i prag ie wyjść za niego za mąż. Albo naiwność, albo najzręczniejsza przebiegłość.

„Na każdy sposób trzeba mieć się na baczności, tembardziej, że między dwiema temi dziewczętami istnieje jakaś tajemnica.

„Dostrzegłem, jak się porozumiewały spojrzeniami, a szczególnie w owej chwili, kiedy dałem umówiony znak Durandowi do mówienia o kradzieży. Opowiadanie Duranda nie wywarło najmniejszego wrażenia na Laurze, słuchała go jakby z odcieniem jakiegoś znudzenia, po czem spojrzała na swoją towarzyszkę tak, jakby jej wzrokiem zapytywała, czy się dobrze udało.

„Takie i tym podobne spojrzenia trzeba umieć chwytać i rozumieć. Nie mylę się, że je dobrze pochwyciłem i zrozumiałem. Nie będę już teraz o tem myślał, niech się rzecz odleży. Z dalszej perspektywy, po upływie 24 godzin sprawa mi się taśni i przedstawi".

Odłożywszy notatki zabrał się do przeglądania znalezionego przy rannej kobiecie portfelu.

Był bardzo elegancki, kosztowny, zaopatrzony w monogram J. B. Były tam listy, rachunki, pokwitowania. Oczywiście, że przedewszystkiem zwrócił uwagę na listy, pisane ręką kobiecą. Pismo było piękne, wyrobione, czytelne. Prawie wszystkie były adresowane do jakiegoś Jasona Bradwardine, ale były bez podpisu. Stuart uporządkował je według dat i czytał. Pierwszy list opiewał:

„Mój zacny przyjacielu! Z tego zakątka, który tu w Niemczech znalazłam, zwracam się do pana z najgłębszą wdzięcznością. Istotnie, że mi braknie słów na wyrażenie panu tego, co czuję. Od tych strasznych prześladowań, oszczerstw, intryg, któremi ścigano mię nielitościwie, uwolniłeś mię pan i zapewniłeś mi spokój. Moja dziecina rośnie zdrowo i w niej całe moje szczęście. Potem co mi pan doniósł, że czyhają na jej życie, żyję w ciągłym niepokoju. Boże! Gdyby ona wpadła w ich ręce! Myśl o tem wytrąca mi pióro z ręki".

Ten list był pisany przed piętnastu laty. Stuart zaciekawiony jego treścią, zamyślił się, oparłszy swoim zwyczajem głowę na dłoniach, a po chwili zabrał się do czytania następnego listu:

„Mój najlepszy przyjacielu! Wybacz, że nie usłucham twej rady i nie pozostanę tu dłużej. Ciągła obawa o dziecko tak mię przygnębia, że niekiedy lękam się obłąkania. Nasuwa mi się doskonała sposobność porzucenia Europy, w towarzystwie bardzo zacnej kobiety, która w tych dniach do Ameryki odpływa. Tam za Oceanem będę spokojniejsza, może ręka moich prześladowców tam mi dziecka nie dosięgnie. Proszę do mnie teraz nie pisać, bo w chwili gdy pan ten list czytać będziesz, my prawdopodobnie będziemy się znajdowały na pełnem morzu. Gdy do Ameryki przybędę i wyszukam sobie jakiś zakątek, natychmiast do pana napiszę i adres mój podam. Ponownie proszę o wybaczenie, że bez wiedzy pańskiej wyjeżdżam i wbrew pańskim radom".

Trzeci list z rzędu opiewał:

„Mój jedyny, najlepszy przyjacielu! Sześć miesięcy upłynęło od ostatniego mojego listu. Nie sądź pan, że zapomniałam o tobie, szlachetny dobroczyńco mojego dziecka. Nie pisałam, bo byłam ciężko chora przez trzy miesiące. Możesz sobie pan wyobrazić, co się wtedy ze mną działo na myśl, że mogę teraz umrzeć i moją dziecinę zostawić bez żadnej opieki. Bóg ulitował się nad tą biedną sierotą i zachował jej matkę. Wyzdrowiałam szczęśliwie, wyszukałam sobie miłe i korzystne zajęcie i bardzo mi tu błogo, bo spokojnie. Przebywam tu pod przybranem nazwiskiem i dla bezpieczeństwa od prześladowców i dlatego, że tu w Ameryce ludzie nie zwykli posługiwać się szlacheckimi tytułami. Pisz pan do mnie pod adresem: Pani Bruns, Buhthal obok New Yorku".

Czwarty list z rzędu, pisany w cztery miesiące po trzecim, był zdumiewający:

„Nikczemny oszuście! Przejrzałam cię wreszcie, poznałam cały ogrom twojej niecześności. Pogardzam tobą jak tylko może pogardzać obrażona kobieta i kochająca matka takim, jak pan nikczemnikiem. Chciałeś mię ująć brudnemi pochlebstwami, aby uśpić moją czujność i zabrać mi dziecko. Dziś byłabym zdolną jak tygrysica rzucić się na ciebie w obronie mego dziecięcia. Przejrzałam dokładnie pańskie chytre plany. Sięgasz po miliony, a wydaje ci się, że moje dziecko zagradza ci ku nim drogę. Milionów dla dziecka nie potrzebuję, tylko jego spokojnego życia i szczęścia. Już mnie nie dosięgniesz nikczemniku, bo jeszcze tej samej nocy opuszczam moją siedzibę i tak się z dzieckiem ukryję przed tobą, że nas nie znajdziesz. Ale ty mój panie pierwej lub później doznasz mojej zemsty. Strzeż się panie Jason Bradmardine!".

— A, to nowy temat — pomyślał Stuart. — Nie spodziewałem się, że przybywszy tu *incognito* do Chicago, będę miał tyle urozmaicenia. Skąd się wziął ten portfel u zranionej kobiety? Czyżby ów morderca był owym Bradmardine? Ależ byłby to prawdziwy głupiec. Jakże można takie listy przy sobie nosić? A może ten portfel miała owa pani Thomson i morderca po to właśnie przybył aby go od brać? Na każdy sposób trzeba tego do iec. Jocelyn śledzi jakiegoś lon yńskiego urwipołcia, więc może te listy mu się przydadzą?

Znużony, położył się Stuart spać, a następnego dnia udał się wczas rano do kawiarni, aby przepatrzyć najświeższe dzienniki. Interesowały go najbardziej anonse ty i kronika dziennych wydarzeń. W inseratach wyczytał następujące ogłoszenie:

„Poszukuje się kobiety biegłej w pełnieniu obowiązków ajenta policyjnego, nie należącej do żadnego biura, znającej do tego całe miasto. Oferty przyjmuje X X w ajencyi „Trybuna".

Przeczytawszy ten inserat zaczął sobie Stuart gwizdać pod nosem.

— Hm, hm. Warto o tem pomyśleć. Takie ogłoszenia bywają u nas dość rzadkie. Tutaj wszyscy wiedzą, w jaki sposób szukać kobiecych ajentów. Inseratem posłużył się chyba jakiś cudzoziemiec, który przybył niedawno z Europy i chciałby znaleźć kogoś, kto się przed nim ukrywa. A gdyby też to był może ów Bradmardine, szukający matki, która się tu z dzieckiem schroniła? Boć leż to już temu lat kilkanaście! No, ktoś przecie pośle mu oferty.

Tak myśląc wyszedł Stuart z kawiarni i wrócił do domu.

W godzinę potem zatrzymał się jakiś młody, przyjemny człowiek przed owym doomem, w którym zraniono p. Thomson i widocznie czekał tu na kogoś. Właśnie wyszedł z bramy dr. Rice, ów lekarz, który ranną pielęgnował.

Młody człowiek zbliżył się do niego z uprzejmym ukłonem i rzekł nieśmiało:

— Czy mam zaszczyt mówić z panem doktorem Rice?

— Tak. Czem mogę służyć? — odpowiedział doktor zimno i z pośpiechem.

— Niech pan doktor wybaczy łaskawie, że ośmielam się pana zatrzymywać. Jestem dziennikarzem a jako taki, znam wszystkie najznakomitsze osobistości w mieście, więc i nazwisko pańskie dobrze mi znane.

— Czemże mogę panu służyć? — spytał doktor ale już bardzo uprzejmie.

— Jestem właściwie reporterem; pan doktor raczy uwzględnić reporterską ciekawość, tak niezbędną przecież, aby publiczność miała prędkie i dokładne wiadomości o wszystkiem. Chciałbym prosić o różne szczegóły tyczące się tej zranionej kobiety, u której pan doktor był właśnie. Domownicy opowiadają dosyć bałamutnie i z tego małe yału nie miałbym żadnego prawie pożytku.

— A to proszę pana potrudzić się ze mną, mogę po drodze coś opowiedzieć, ale zwracam uwagę, że bardzo mało mam czasu.

— Nie będę nadużywał cierpliwości pańskiej i zapytam krótko, jak się ma zraniona?

— Lepiej, nawet znacznie lepiej.

— Czy pan doktor nie dowiedział się kto jest ta pani i dlaczego na nią napadnięto?

— Tego się nie dowiedziałem, bo chora nie może wiele mówić. Gdy odzyskała przytomność, zaczęła szukać czegoś koło siebie i narzekać, że jej się gdzieś podziały jakieś ważne papiery. Opowiadała, że je wypuściła z ręki, broniąc się przed mordercą. Cokolwiek się uspokoiła, gdy jej powiedziano, że urzędnik policyjny, który przybył na pomoc, podjął jakiś portfel i oglądał, ale nie wiedziano, czy go zabrał ze sobą.

— Czy chora wyzdrowieje zupełnie?

— Nie wątpię; jutro przewiozę ją do szpitala. Zdaje się, że to osoba dość zamożna; właścicielka domu ma u siebie w przechowaniu znaczną kwotę jej pieniędzy. Oto wszystko, co panu mogę powiedzieć.

— A czy nie wymieniła nazwiska mordercy?

— Tego nie słyszałem, a nie chciałem jej o to pytać, bo mi właścicielka domu powiedziała, że chora nie chce o tem mówić. Kiedy się jej zapytano, ruszyła ręką na znak przeczenia, a potem dodała:

— Nie pytajcie o to.

Zabroniłem nawet dręczyć ją dalszemi pytaniami; dość będzie na to czasu, gdy wyzdrowieje.

— Najuprzejmiej dziękuję panu doktorowi.

— Żałuję, że muszę pana pożegnać, bo czekają na mnie pacyenci.

— Raz jeszcze dziękuję, moje uszanowanie.

Lekarz pożegnał się z reporterem a dopiero w drodze przypomniał sobie, że mu ów dziennikarz nie wymienił swego nazwiska, ani też tytułu pisma, w którem pracuje. Nie przypuszczał, że tym dziennikarzem był głośny ajent policyjny Neil Stuart.

VI.

MAŁŻEŃSTWO ROBBINS.

Jocelyn śledził wciąż podejrzanego Anglika z Londynu. Pewnego dnia wieczorem stał w bramie kamienicy i spoglądał ciekawie w jasno oświetlone okna pierwszego piętra po drugiej stronie ulicy. Widział, jak podejrzany Anglik siedząc przy biurku, przeglądał w niem szuflady i układał jakieś papiery. Po chwili spostrzegł, że weszła czasno ubrana wysoka kobieta w kapeluszu, zakryta welonem, a więc widocznie były to jakieś odwiedziny.

Ale zaraz zapuszczono story i nie mógł już nic widzieć, co się działo u podejrzanego Anglika.

Postanowił nie ruszać się z miejsca, dopóki owa kobieta nie wyjdzie. Palił jedno cygaro za drugiem, dwie godziny czekał cierpliwie i już sądził, że mu sił braknie i cierpliwości, gdy wreszcie ukazała się wyczekiwana.

Jocelyn podążał za nią nie spuszczając z niej oka. Z początku szła prosto, a potem puściła się prędko krętemi uliczkami. Jocelyn był pewien, iż się domyśliła, że ją śledzą i dlatego ucieka.

Jakież było jego zdziwienie, gdy ta czarna dama zwróciła się nagle ku niemu i zatrzymując się rzekła, jakby obrażona:

— Mój panie, to nieg dziwne tak prześladować kobietę. Dlaczego pan za mną idzie?

— Dlaczego? — odpowiedział Jocelyn rzecz jasna, widok pani mię zachwycił.

— Mój panie, to ciche pochlebstwo. Jak można się kimś zachwycić, kogo się nie widziało?

— Nie widziałem twarzy pani pod welonem, ale zachwyciła mię postawa pełna wdzięku, a teraz zachwyca mię głos taki śpiewny, metaliczny.

— Czy to tylko prawda, co pan mówi? rzekła czarna dama z wielkiem przymileniem.

— O, przysięgam pani!

— Och, mój Boże, — rzekła dama z rozczuleniem i drżąca zwiesiła się na ramieniu Jocelina.

Jocelyn ujął ją w pół z całą galanteryą, a wtem o uszy jego obił się głos Stuarta:

— A toś się złapał stary wygo!

Jocelyn aż się cofnął ze zdumienia.

— A, niech cię nie znam chłopcze; a toś mię wywiódł w pole! Gdzież u dyabła nabrałeś takiego głosu?

— U brzuchomówcy. Ale nie straciłem pieniędzy na naukę?

— Warto złotem płacić za taką naukę. Ale słuchaj chłopcze, mówmy ciszej, żeby nas nie podsłuchano. Pójdziemy pod rękę, jak przystoi para małżeńska.

— A więc chodź mężu — rzekł Stuart kobiecym głosem.

— Wiesz co Neil, trzeba nam gdzieś spocząć i spokojnie pomówić ze sobą. Zmęczyłem się do upadłego obserwacyą, która trwała kilka godzin i pościgiem za tobą. Do domu mam

daleko, dorożki nigdzie tu niema, więc wejdźmy do hotelu „pod krokodylem“ i przeżenie ujmy. Ale czy masz na tyle czasu?

— Właściwie powiedziawszy, to i ja pragnę spoczynku, a do jutra nie będę miał żadnej roboty.

Weszli do owego hotelu „pod krokodylem“, który był raczej podrzędnym zajazdem, zapisali się w księdze jako małżeństwo Robbins i zajęli licho umeblowany pokój. Ktoby był zajrzał do nich, byłby ze zdumieniem spoglądał, jak pani Robbins, rozciągnięta w fotelu paliła chciwie cygaro i męskim przemawiała głosem.

— Powiedzże mi, jakim sposobem dotarłeś do tego podejrzanego Anglika? — zapytał Jocelyn.

— Wyczytałem w inseratach, że poszukuje kobiety, pełniącej czynności ajenta policyjnego.

— Jakże cię przyjął? Obudziłeś w nim zaufanie?

— Najzupełniejsze.

Czy już co skorzystałeś?

— I tak i nie, ale o tem powiem ci później, a teraz ty opowiadaj, czego się o nim dowiedziałeś?

— Historya wcale nie długa. Gdy go wczoraj dostrzegłem wieczorem na ulicy, oczywiście nie spuściłem go z oka. Poszedł do znanego domu gry na Clark Sreet. Udałem się za nim niespostrzeżenie i tak mi się szczęśliwie powiodło, że w kwadrans byłem jego partnerem. Zaledwieśmy grać zaczęli, chciał wyjąć pieniądze, szukał po kieszeniach z niecierpliwością, a wreszcie krzyknął:

— A, do dyabła! zostałem obrabowany!

— Może panu zrabowano pugilares? — zapytałem.

— Ach nie, pieniądze nie ruszono, jest to coś ważniejszego.

Ponownie zaczął szukać, a nie znalazłszy zguby pożegnał się prędko i wyszedł w największem rozdrażnieniu, upuściwszy chustkę do nosa. Pod stołem ją niespostrzeżenie, schowałem i udałem się za nim. Pobiegł prędko do „Trybuny“, oddał tam jakiś serat, potem wstąpił do restauracyi i coś tam przetrącił, a wreszcie od ósmej począwszy, aż do północy przebiegał z jednego teatru do drugiego i w każdym roztrywał się pomiędzy widzami. Widocznie szukał kobiety.

— A jakże wiesz o tem?

— Zaraz się dowiesz. Dziś rano zaledwie tylko wstał, poszedł do „Trybuny“, gdzie mu wręczono dwa listy, na które natychmiast odpowiedział. Cały dzień chodził po ulicach, przypatrując się każdej kobiecie, którą tylko spotkał, a więc z tego wniosek, że i w teatrach kobiety szukać musiał. Wieczorem udał się do domu i nie długo potem przyszedłeś do niego z wizytą. W jakimże celu?

— Zaraz, cierpliwości. Pokaż że mi tę chustkę. Masz ją przy sobie?

Jocelyn podał Stuartowi białą, jedwabną chustkę, na której był wyhaftowany znak: „Jason B“.

— Wybornie ci się udało, ta chustka ma dla ciebie wielką wartość, jak się zaraz dowiesz.

Teraz opowiedział Stuart wszystkie przygody, a na zakończenie podał mu listy, znalezione w portfelu. Jocelyn czytał je z wielkiem zajęciem i znać było, że doznaje wielkiego zadowolenia.

— Ten Jason Bradmardine, do którego listy adresowane i ów urwipołeć, którego śledzę, to pewnie jedna i ta sama osoba.

— Czy myślisz, że on jeszcze teraz ugania za tą tajemniczą matką i jej dzieckiem? — zapytał Stuart.

— Prawdopodobnie — odpowiedział Jocelyn — i dlatego chciałbym cię prosić, abyś mi pomógł śledzić tego pana Jasona.

— Zawsze gotów jestem spełnić twoje życzenie, ale tym razem będzie lepiej nawet dla ciebie, jeżeli będę dalej szedł tą drogą, na którą wstąpiłem. Nasuwają mi się tu rozmaite przypuszczenia. Mój chlebodawca ów Bradmardine albo Brad, jak siebie sam niekiedy nazywa, polecił mi szukać w całym mieście pewnej kobiety. Udaj się ty do Buchenthal szukać śladów tajemniczej matki, a ja tymczasem będę miał mego służbodawcę na oku. Kobieta, której mi szukać kazał, nazywa się Helena Richards; oskarża ją o to, że mu skradła powierzone papiery.

Oczywiście, że będę szukał jaknajgorliwiej, boć owa pani Richards będzie dla nas nieocenionem źródłem wiadomości o Bradmardinem. Szukając jej, może przypadkiem wpadnę na ślad pięknej morderczyni, której prześliczne oko fotograf wane nosisz na sercu.

VII.

NIEZWYKŁE ZARĘCZYNY.

W domu Ruthvenów bywało teraz jeszcze weselej, niż dawniej.

Aby uprzyjemnić pobyt Eleonorze urządzano dla niej wycieczki, zabawy domowe, chodzono często do teatru, na koncerty. Kate Scaton coraz nowsze miała pomysły w urządzaniu przyjemnych niespodzianek ukochanej przyjaciółce. Frank Arteveldt bywał teraz u Ruthvenów niemal codziennym gościem.

Leonora wywarła na nim takie wrażenie od pierwszego wejrzenia, że mu się opędzić nie zdołał. Być może, że zajęcie się tą piękną panną dlatego w nim wzrastało, że ona zachowywała się wobec niego zimno i odpychająco, chociaż w ramach towarzyskiej grzeczności. Przywykły do łatwego zdobywania serc niewieścich, rozdrażniał się tą odpornością i niety ko sam pociąg do panny, ale i ambicyą dożuana, rozniecały w nim coraz silniejsze, coraz gorętsze uczucia, tak, że się niemal namiętnością stawały.

U Ruthvenów bywała często ich kuzynka pani Jessie Warren. Kobieta młoda, piękna, zalotna, lubiła się bawić, dlatego też teraz przychodziła częściej niż dawniej i brała udział we wszystkich tych przyjemnościach, które dla panny Armyn urządzano. Należała do rzędu tych kobiet, co to lubią narzucać się drugim na mentora, a szczególnie pannom. Skromność, takt i prostotę Leonory nazywała par fiańszczyzną i nie szczędziła Leonorze uwag. Leonora przyjmowała je grzecznie ale obojętnie, a raz nawet uprzejmie wprawdzie, ale bardzo stanowczo oświadczyła, że się nie zmieni i pozostanie taką, jaką jest, choćby się to nawet ludziom nie miało podobać.

Oczywiście, że pani Warren wydało się to wielką obrazą, to też powzięła głęboką niechęć do Leonory, aczkolwiek jej wyraźnie nie okazywała. Spostrzegłszy zabiegi Arteveldta i widząc obojętność Leonory, powzięła plan, aby ugiąć tę „dumną dziewczynę“ i ułatwić Arteveldtowi zdobycie jej serca. Jak to uczynić? Oczywiście trzeba było udawać serdeczną przyjaciółkę Leonory i zyskać sobie jej zaufanie; czyniła też wszystko, na co się zdobyć może zręczna, przebiegła kobieta, ale wszelkie usiłowania spełzły na niczem.

Tymczasem Arteveldt już nie gorzał ale płonął sentymentem. Być może, że była to pierwsza, szczera miłość, ale niezawodnie rozniecały te płomienie: próżność i pożądliwość.

Pojąć tego nie mógł, dlaczego nie doznaje względności jakiejś biednej, nieznanej panny, on, zdobywca serc niewieścich, on, najznakomitsza „partya“ w całem Chicago. Udawał się też pod opiekę pani Warren ale nadaremnie. Gdy raz Leonorze z entuzyzmem o nim opowiadała, wyhwalała jego charakter, obliczała jego majątek, Leonora słuchała tego bardzo obojętnie, a wreszcie rzekła:

— Możebyśmy rozmawiały o czemś bardziej zajmującem. Pan Arteveldt może służyć do ozdoby salonu, podobnie jak porcelanowa figura, ale nie jestto człowiek taki, jakim mężczyzna być powinien, aby się kobiecie podobał.

Oczywiście, że taka odpowiedź do żywego dotknęła Arteveldta i teraz, do uczuć dotychczasowych przyłączył się u niego jeszcze jakaś zawziętość. Teraz już zupełnie oddał swe losy w ręce pani Warren, a ona przyrzekła mu zwycięstwo.

Znowu upłynął tydzień, a w położeniu nic się nie zmieniło.

— Pani, ja oszaleję — rzekł raz Arteveldt do pani Warren. — Niema ofiary, którejbym nie uczynił, żeby Leonorę posiadać. Ona musi być moją za wszelką cenę. Oddaję pani do dyspozycyi część majątku.

Był to dla pani Warren argument bardzo przekonywujący, bo pieniędzy zawsze jej było mało, tyle ich na stroje i na przyjemności bez rachunku wydawała. Do tego przyłączyła się też i silnie wzrastająca niechęć do Leonory.

Przyjdź pan dziś wieczorem do mojej przyjaciółki, panny Baren, tam się naradzimy. mogąc spokojnie jakiś plan ułożyć.

W trzy dni potem przybyła pani Warren do Ruthvenów, jak zwykle bardzo uprzejma, bardzo czuła i namówiła Leonorę, aby z nią poszła za sprawunkami do miasta. Po drodze spotkały Arteveldta, który się do nich przyłączył.

Chodziły dość długo, były więc nieco zmęczone. Wtedy pani Warren zaproponowała, żeby gdzieś wstąpić do restauracyi. Leonora, acz niechętnie zgodziła się na to, nie chcąc przez grzeczność opuszczać towarzystwa.

Wtedy Arteveldt podjął się wskazać wykwintny lokal, w którym największe damy miasta zbierać się zwykły. Pani Warren z całą gotowością zgodziła się na to, Leonora się nie opierała, więc po kilku minutach zatrzymano się przed jakimś eleganckim lokalem. Gdy już Arteveldt drzwi miał otwierać, pani Warren zatrzymała się nagle.

Ach oto idzie moja przyjaciółka Burren, mam jej tylko kilka słów powiedzieć; idźcie państwo naprzód, ja zaraz do was przyjdę.

To rzekłszy, oddaliła się pani Warren szybko i zniknęła w tłumie ulicznym.

Leonora weszła z Arteveldtem do wskazanego lokalu. Z westybulu dziwnie cichego, szło się po schodach na piętro. Leonora ze zdziwieniem spostrzegła, że ten lokal niepodobny wcale do restauracyi. Otwarły się drzwi do eleganckiego salonu, gdzie na progu przywitał przywitał ich zybyły z wielką uniżonością, ale zarazem dość poufale, jakiś człowiek o nieczem em obliczu.

— A, pan Arteveldt, jakże się cieszę! Do tego w towarzystwie. Dziś pan może będzie szczęśliwszy, fortuna się panu uśmiechnie.

— E, cóż pan plecie z panie Jeff — przerwał Arteveldt i mrugał na niego znacząco oczyma. Podaj nam tu lody, albo jakieś chłodniki inne.

Pobiegł prędko. Arteveldt wskazał miejsce Leonorze i usiadł obok niej, usiłując zawiązać ożywioną rozmowę.

Leonora zbywała go półsłówkami, zaniepokojona tem że pani Warren nie wraca i że ona sam na sam znajduje się z Arteveldtem w publicznym lokalu.

Tembardziej ją to niepokoiło, że mężczyźni spoglądali na nią z dwuznacznym uśmiechem.

Wpatrzona w drzwi wyczekiwała niecierpliwie zjawienia się towarzyszki. Nagle drzwi się rozwarły, lecz z miast upragnionej pani Warren wpadł jakiś młody człowiek i stłumionym głosem zawołał:

Panie Jeff! Policya się zbliża!

Powstał zamęt w rzyległych pokojach. Zaczęła się bieganina, słychać było dźwięk zgartywanych pieniędzy, usuwanie stolików. Kilkanaście osób, i mężczyzn i kobiet, przebiegło przez salon i zniknęło w skrytych drzwiach.

— Co to znaczy? — zapytała Leonora Arteveldta z największem oburzeniem.

Ale on nawet nie słyszał pytania, bo pobiegł za Jeffem, który ukazał się na nowo w salonie z twarzą uspokojoną.

— A co? — zawołał Arteveldt.

— Wszystko dobrze. Poszli dalej, już nie wstąpią.

Arteveldt wrócił do Leonory, a prawie równocześnie Jeff przyniósł lody.

— Mój panie, co to wszystko znaczyło? — pytała Leonora zwróciwszy się do Jeffa. Proszę mi powiedzieć, gdzie ja się właściwie znajduję?

— Ha, ha to zabawne. Sądziłem, że pan Arteveldt pani wyjaśnił. Wszakże pani widzi, że to jest ruleta.

— Jakto? tajemna ruleta? Panie Arteveldt, jak pan śmiałeś?

Przestała mówić, głos zamarł jej w piersiach. Jeff usunął się dyskretnie

— Panno Leonoro! wybacz pani — rzekł Arteveldt z pokorną tkliwością. Źle uczyniłem, wybacz pani. To szał miłości, on mię do tego popchnął.

— Panie Arteveldt! — odpowiedziała Leonora, podnosząc się z największem wysileniem — to było niegodziwie. Powiedziałam panu dwa razy stanowczo, żebyś na wzajemność nie liczył.

W jej postawie i słowach tyle było majestatu obrażonej dumy kobiecej, że Arteveldt uczuł się prawdziwie upokorzonym; nawet szczerze żałował w tej chwili, iż uległ namowom pani Warren i wykonał ten ohydny plan przez nią powzięty.

— Błagam panią o przebaczenie. Odmowa pani przywiodła mię do rozpaczy. Nie mogąc zjednać sobie wzajemności, postanowiłem w szale jakiegoś zapomnienia zmusić panią do tego, abyś mi oddała swoją rękę.

— Sądziłeś pan, że można kobietę zmusić do miłości?

(Ciąg dalszy nastąpi).

Poświęcenie sztandaru Szkoły oficerskiej w Bydgoszczy.

W zeszłym miesiącu była świadkiem Bydgoszcz pięknej uroczystości wojskowej; poświęcenia sztandaru Bydgoskiej Szkoły Oficerskiej, która typem odpowiada Szkole Podchorążych w Warszawie. Uroczystość wypadła imponująco. Z ramienia Ministerstwa Wojny przybył jenerał Skierski. Poświęcenia dokonał dziekan bydgoski ks. Malawski. Uroczystość zakończyły popisy sportowe oraz bankiet okolicznościowy. Wieczorem odbyła się stosowna Akademia muzyczno wokalna w auli Szkoły, która jest jednym z najpiękniejszych gmachów w Polsce.



Poświęcenie Sztandaru Oficerskiej szkoły w Bydgoszczy: Przewodniczący rady miejsk inż. Janicki i pułkownik Jotelnicki, komendant Szkoły.

Wielka „panama bydgoska".

W Warszawie powstała niedawno wielka tajna produkcya fałszywych banderoli na wyroby tytoniowe. Tej produkcyi całe kosze pchąno do Bydgoszczy. Malwersacye szły w grube miliardy, podcinając w ten sposób nasz i tak mizerny skarb. Ale policya rzecz „nakryła" w połowie listopada b. r. i położyła tamę szerzenia się „panamy".

Głównym odbiorcą łakomego towaru z krzywdą Polski był Roman Skrzynecki b. rotmistrz carskiej gwardyi współwłaściciel fabr. papierosów „Pomorze"; wraz z nim aresztowano Kosiakowskiego, wspólnika a ponadto Rohbeina (firma Stambuł") i K. Blocha, wielkiego importera tytoniu, wielomiliardera. Grozi im ciężkie więzienie i konfiskata majątku. To powinno odstraszyć innych fabrykantów od wstępywania na podobnie śliskie drogi...



Wampir pokoju światowego czuwa: Ekskajzer Wilhelm w parku na zamku Doorn w Holandyi

Wampir pokoju światowego czuwa!

Wielka wojna światowa skończyła się tryumfem sprawiedliwości. Runęły skojarzone na zgubę ludzkości potęgi Prus, Austryi i Rosyi, nagrodzone zostały krzywdy dziejowe Polski, jej odbudowaniem, Francyi — zwrotem jej najpiękniejszych krajów Alzacyi i Lotaryngyi.

Ale podczas, gdy nikczemni satrapowie Rosyi i Austryi na zawsze już nieszkodliwi stoją przed sądem Boga, trzeciego z nich największego łotra zachował widocznie sobie szatan do swych przyszłych zamysłów.

Eks,-kajzer niemiecki Wilhelm żyje — na wygnaniu...

Wygnanie? Chyba przez ironię tak nazwane. Sprawca ruiny świata zamieszkuje nie wyspę św. Heleny, nie Wyspę Dyabelską lub choćby Martynikę, której zabójczy klimat pochłonął zidyociałego Karola austryackiego! Nie! Wilhelm zamieszkuje jedną z najpiękniejszych posiadłości Europy, zamek Doorn w Holandyi, ma swój pałac z parkiem, swój dwór, swoich przyjaciół i doradców politycznych.

Tam się ożenił i zdążył już żonę wypędzić od siebie, stamtąd wysyła do swych stronników proklamacye i knuje łotrowskie plany zagrażające ponownie światu.

A ta Europa niedawno w krwi przez niego skąpana — ta wolna, demokratyczna Europa, która dopiero co pozbyła się swych tyranów i łupieżców koronowanych — patrzy spokojnem okiem na tego gada z Doorn, który w awangardzie bestyalskich swoich planów już wysłał swego syna do Niemiec i sam zapewne niezadługo za nim pociągnie.

Oby ta pobłażliwość, ślepota i kwietyzm ludów — nie zemścił się w krótkim czasie na nich



Wielka panama Bydgoska: B. rotmistrz carskiej gwardyi Roman Skrzynecki



Parada „Czerwonej" armii w Moskwie: Przewodniczący sowietów Kamieniew (1) janerał Kamieniew (2) zastępca Trockiego Stiański (3) na czele uroczystego pochodu.

Parada „czerwonej armii" w Moskwie.

Armia czerwona, ta rewolucyjna armia, której usiłowano nadać zupełnie odmienne formy od wojsk całego świata — wraca jak wiele instytucyi proletaryackiej Rosyi — jednak do dawnych swych wzorów i owszem stara się jeszcze zmodernizować na modłę znienawidzonych i pogardzanych swych sąsiadów.

W Moskwie obchodzoną była tymi dniami wielka uroczystość: rocznica wybuchu rewolucyi. Wzięły w niej „po prikazie" udział wszystkie warstwy ludności, w pierwszym zaś rzędzie „czerwono-armijcy": wojsko sowieckie.

Odbyła się też parada wojskowa. Olbrzymie oddziały żołnierstwa wszystkich gatunków broni przeciągały miastem z muzyką, wśród śpiewów i okrzyków, a pochód ten nie byle kto otwierał,

bo — jak widzimy na naszej rycinie przewodniczący sowietów Kamieniew, jenerał dowodzący Kamieniew i reprezentant Trockiego Stiański.

Parada wojskowa trwała podobno 6 godzin z rzędu.

Jak długo jednak potrwa parada całej Sowdepii?

Odpowie na to najbliższa historya dni naszych.

Współdziałanie floty francuskiej z armią okupacyjną w Ruhrze

W ciężkiem, trudnem przedsięwzięciu wojskowem, jakiem jest okupacya Ruhry, współdziała świetnie z francuską armią lądową rzeczna marynarka na Renie.

Od 10 stycznia na rozkaz jenerała Degoutte flotylla reńska, złożona z 12 kanonierek zaciągnęła posterunki między Düsseldorfem i Walsum, utrzymując dotąd porządek i bezpieczeństwo w powierzonym jej odcinku.





Współdziałanie floty francuskiej z armią okupacyjną w Ruhrze: Kanonierka francuska na Renie.



Miłosierna władczyni: Cesarzowa japońska zwiedza szpital dzieci okaleczonych przy trzęsieniu ziemi

Rzadka gwiazda filmowa.

Rzadka, być może... W każdym razie może stosowniejsza byłaby nazwa: „Gruba ryba filmowa"! — pomyśli niejeden Czytelnik ujrzawszy w dzisiejszym numerze portret Miss Brunce z Arkansas.

Istotnie! jest to kobieta kolosalnych rozmiarów i odpowiedniej wagi, a w świecie filmowym nie ma chyba rywalki w tym względzie. Rozmiarami swemi wzbudza, zwłaszcza w kostyumie kąpielowym zrozumiałą sensacyę. Nie sądzimy jednak, by nadawała się do ról amantek lub naiwnych.

Wesoły bohater filmowy.

Maksymilian („Maks") Linder jeden z najpopularniejszych aktorów filmowych, o którego śmierci w czasie wojny (służył bowiem wojskowo) prasa całego świata już trąbiła — ten śmiejący się bohater kina i ulubieniec kobiet — żyje.

Jest to pewne i stwierdzone, gdyż Maks Linder zjechał obecnie do Paryża, gdzie ma być zdejmowany w jakiejś nowej bajecznej komedyi.

Sądzimy że wielbicielkom talentu i — urody genialnego aktora zrobiliśmy pewną przyjemność przynosząc w dzisiejszym numerze jego wierną podobiznę.

Linderowi trzeba przyznać tą wielką zaletę sceniczną, że będąc ultra-komikiem nie przestał być sobą tj. eleganckim dżentelmenem i nie przekracza nawet w najryzykowniejszych artystycznie rolach granic dobrego smaku i estetyki.

Miłosierna władczyni

Jeżeli sobie możemy pomyśleć najdoskonalszy duchowy typ człowieka, najdoskonalszy w znaczeniu podniosłych łez etyki ludzkiej — to jest nim z pewnością Japończyk.

Jedną z najpiękniejszych stron jego ducdowej istoty — to miłosierdzie, wykonywane wobec każdego nieszczęśliwego bez różnicy narodowości i wyznania.

Tego miłosierdzia mieliśmy dowody i my Polacy i to ze strony samej przezacnej Władczyni Japonii, która wraz z swą rodziną zajęła się z takiem serdecznem współczuciem i tak hojną pomocą losem polskich sierod w swem państwie

Po strasznej katastrofie trzęsrenia ziemi, w którem zginęło setki tysięcy ofiar i setki tysięcy zostało kalekami — dostojna Władczyni Nippoan sama osobiście z najbiższymi w rodzinie — odwiedza szpitale, niosąc chorym pocieeęę, pomoc nadzieję.

Rycina w dzisiejszym numerze przedstawia właśnie takie odwiedzinz Cesarzowej w szpitalu dziecięcym w Tokio. Małe pacyenty spoglądają z czcią i zodziwem na Tę, która z wyżyn tronu zeszła do maleńkich jak prawdziwy anioł ulgi i pociechy. —





Rzadka gwiazda filmowa: Miss Brunce z Arkansas



Wesoły bohater filmowy: Ulubiony humorysta Maksymilian Linder

Ulubiony komik krakowskiej Operetki.



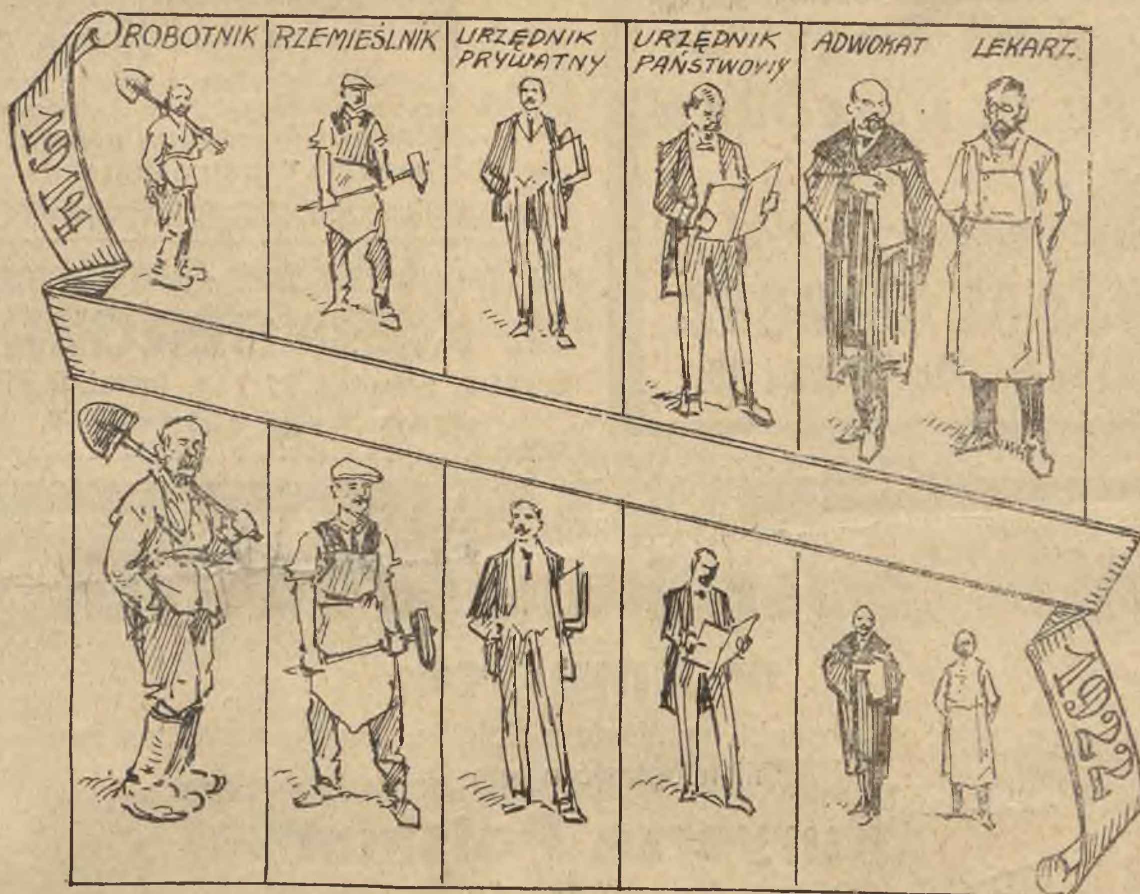
Ulubiony komik Krakowskiej Operetki: Edmund Karasiński

Nazwisko p. E. Karasińskiego jest nadto dobrze znane naszej teatralnej publiczności.

Jego świetne kreacye w „Amorze w śniegu“, „Baronie Kimlu“, „Apaszach“, w „Palestrancie“ i ostatnia rola Lucka, w najnowszej operetce „Królowa Montmartre“, dają wyobrażenie o wszechstronności tego talentu.

Jedną jeszcze zaletę posiada sympatyczny nasz komik: piękny głos, który z powodzeniem użytkuje i w operze.

W niniejszym numerze przynosimy podobiznę p. Karasińskiego w jednej z lepszych jego ról: „Jąkały“ w „Baronie Kimlu“.



Zmierzch pracującej inteligencyi: Graficzne przedstawienie wzrostu i ubytku dochodów w rozmaitych zawodach

Do P. T. Fotografów!

P. T. Fotografów, tak zawodowych jak amatorów, upraszamy uprzejmie o nadsyłanie nam robionych przez się zdjęć ciekawszych wypadków mogących zainteresować ogół Czytelników, celem reprodukowania ich w naszem Piśmie. Do każdego zdjęcia należy dołączyć notatkę, zawierającą treściwie zebrane szczegóły, ewentualnie przysłać numer któregoś z pism codziennych, gdzie znajdowała się już odpowiednia wzmianka.

Nadają się do tego w szczególności obchody narodowe, towarzyskie, rocznice, zgony wybitnych osobistości i td., przedewszystkiem zaś zdjęcia, odnoszące się do senzacyjnych wypadków dnia, zaszłych w miejscu lub okolicy. Pospiech w nadsyłaniu fotografii (nie naklejanych na karton) jest wskazany.

Za nadesłane nam zdjęcia, o ile nadadzą się do umieszczenia w naszem Piśmie, wypłacać będziemy ustalone za wzajemnem porozumieniem honoraryum, jakoteż na żądanie zamieszczać pod nią nazwisko lub firmę wykonawcy zdjęcia.

Przesyłki upraszamy adresować: *Redakcya Nowości Illustrowanych“, Kraków XV., ul. Kazimierza Wielkiego l. 95.*

Właściciele i wydawcy Spadkobiercy St. Lipińskiego. — Odpow. redaktor: Dr. Witold Lipiński. — Klisze własnego zakładu. Druk. D. E. Friedleina.